

K A T A R Z Y N A
ENERLICH

Kiedyś przy
Błękitnym Księżycu

K A T A R Z Y N A
ENERLICH

Kiedyś przy
Błękitnym Księżycu

Copyright © 2011, Katarzyna Enerlich
Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie
w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek
formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również
częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN: 978-83-61297-99-4

Projekt okładki: Maciej Sadowski

Opracowanie redakcyjne: MG

Skład: Jacek Antoniuk

Wydawca: Wydawnictwo MG
00-901 Warszawa
Pl. Defilad 1, skrytka pocztowa 51

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca
30-011 Kraków, ul. Wrocławska 53

Książkę wydrukowano na papierze Creamy Hi Bulk 60 g/m² wol. 2.4
dostarczonym przez Zing Sp. z o.o.

www.zing.com.pl
Infolinia 801 322 333

zing

Dystrybucja: Grupa A5 sp. z o.o.
92-101 Łódź, ul. Krokusowa 1-3
tel./fax: (42) 676 49 29
e-mail: handlowy@grupaA5.com.pl

*Tragedią naszego życia jest to, jak głęboko musimy cierpieć,
zanim nauczymy się prostych prawd, według których trzeba żyć
(Anonimowi Alkoholicy wkraczają w dojrzałość)*

Trudne dzieciństwo nie usprawiedliwia. Ono zobowiązuje.



Fot. Barbara Szymańska

A pamiętasz, jak byłam mała?

A pamiętasz, że gdy zasypiałam na wersalce przed telewizorem, brałeś mnie śpiącą na ręce, zanosileś do łóżeczka i otulałeś kołderką? Czasem budziłam się, ale wiedziałam, jak bardzo się starasz i udawałam, że wciąż śpię. Nie chciałam ci robić przykrości.

A pamiętasz, jak zaprowadziłeś mnie do znajomej pielęgniarki, żeby przekłuła mi uszy? Bałeś się nie mniej niż ja, ale i tak byłeś dla mnie Doskonały!

A jak robiłeś mi „huśtawkę”? Siadałeś z nogą na nodze, a ja siadałam na twojej stopie. Machałeś nią jak wahadłem, musiałam trzymać się mocno twojej łydki, żeby nie spaść. Bałam się życia bez ciebie.

A jak stawiałam na twoich stopach i chodziliśmy razem po mieszkaniu, w rytmie twoich kroków? Wierzyłam, że zawsze tak będzie. Ja z tobą, ty ze mną.

A jak wracaliśmy od dentysty, to pokazałam ci swój „sekretny” – ukrytą pod szkłem i warstwą ziemi kompozycję z kwiatów, traw i „pazłotek” od cukierków.

A pamiętasz...

Wróć do mnie... Może nie jest jeszcze za późno... Spróbujemy jeszcze raz przegadać to, o czym przez lata milczeliśmy. Wróć. Tym razem posłucham cię i nie zwiążę się z żadnym niewłaściwym mężczyzną. Nie będę się już ciebie wstydzić i udawać, że nie ma mnie w domu. Wróć, jeszcze raz popatrzymy na niebo, tak jak wtedy wczesną jesienią na Mazurach.

Wróć...

Zaraz pomogę ci wyzwolić się z tej płataniny kabli, pojedziemy do domu. Wyprasuję ci koszulę, tę flanelową w biało-brązową kratkę. Kupię mleko. Będę znów twoją małą córeczką, może tylko trochę starszą. Zaczнешь swoje życie od nowa.

Może kiedyś, przy Błękitnym Księżycu, na nowo ułożymy skrzydlate baśnie naszego życia...

*Zamknęci w dziuplach swoich myśli,
opowiadamy ból,
kiedy nie słysząc śpiewu kwiatów,
gdy tak obca w nas bliskość.
Potem długo jeszcze uczymy się
nie pamiętać¹.*

– Organizm pani ojca jest bardzo wycieńczony. Może to gruźlica, a może AIDS... Robimy badania. Pacjent jest strasznie wyniszczony. Ale walcz. Proszę uzbroić się w cierpliwość.

„Uzbroić się w cierpliwość”. Mam zatem stać się tasiemcem własnej cierpliwości, sycić nią swój zmęczony i rozkołatany nerwami organizm? Co robić teraz? Ta sytuacja spustoszyła moje myśli. Nie miałam żadnego planu.

Czy jechać do hotelu, gdzie zostawiłam swoje rzeczy, czy może zostać tu z nim? Bezradna, patrzę na pielęgniarkę.

– Niech pani jedzie do hotelu i wypocznie. W razie czego zadzwonimy.

Nie wiem, czy dobrze robię. Może jednak powinnam z nim zostać? Ale lecę z nóg, mam za sobą tygodniową trasę, potem podróż z Kujaw do Wyszkowa. Nic jeszcze dziś nie jadłam. Marzy mi się gorąca herbata i talerz rosółu...

– Tato, poczekaj na mnie, wrócę – mówię do niego, muskając palcami jego sztywne, czarne włosy.

Ani śladu siwizny, a ma już siedemdziesiąt lat. Jego koledzy od dawna są siwi albo łysi. Pamiętam, już wtedy byli tacy. A on... Jakby zawarł pakt z diabłem. Był nieprzemijający. Do teraz.

Patrzę na niego, jak leży na wąskim szpitalnym łóżku, przykryty cienką kołdrą. Nie ma na sobie piżamy, widać jego szczupłe obojczyki, obleczone spaloną w słońcu skórą. Patrzą na mnie ciemne oczy. Moje są podobne. Cieleśny autograf pokrewieństwa.

¹ Autorem tego wiersza oraz wszystkich innych, które rozpoczynają rozdziały, jest Dariusz Kosmański, poeta z Inowrocławia.

Jego powroty do domu. Wypędzona spod skrzydeł snu stałam w przedpokoju w pomiętej koszuli. Za drzwiami słyszałam jego ciężki oddech.

– Nie wpuszczaj go! Nie ma tu wstępu w takim stanie! – Matka broniła się przed nim. Zamykała drzwi na zamek górny, dolny i dodatkowo na łańcuszek. Jakby ten pijany człowiek za drzwiami miał dość siły, by pokonać te zapory.

– Otwieeeraj! To móóóój doooooom! – Zza drzwi dochodził łomoczący krzyk.

Sąsiedzi pewnie wszystko słyszeli. Znów będzie wstyd. Jak spojrzę w oczy Agnieszce?

*porannymi ustami
opowiadam dłoniom twoje uda
jestem blisko – w półtonie
jeszcze odwiedzam prowincje
choć wiesz że czekam na olimp*

Miałam osiemnaście lat. Kochałam się z pierwszym mężczyzną w dziwnym szaleństwie naszych ciał, chcących tarcie brzuchów przypieczętować wybrane słowa o miłości. To nie był akt seksualny. Raczej akt desperacji. Chciałam, żeby ktoś mnie kochał, obojętne jak. A on obracał moim ciałem w dowolne strony, używał jak narzędzia do zaspokojenia. Nieważne było wtedy, że kochał mnie tylko fizycznie, bo pociągały go moje okrągłe piersi i szerokie nastoletnio-dziewicze biodra. Przychodził w południe i zostawał do późnego wieczora. Gdy cały dom zasnął, mój pierwszy kochanek łapczywie ściągał ze mnie ubranie.

– Pragnę cię... Bardzo! – szeleścił głosem, by nikt nas nie usłyszał. Mówił to, co zwykle mężczyźni zlaknieni spełnienia mówią w takiej sytuacji. Żadnej finezji.

Czytałam w mądrych książkach, że pierwszego mężczyznę pamięta się najbardziej. Że ten, który przedarł się przez ukrytą w ciele barierę intymności, zajmuje potem w pamięci kobiety poczesne miejsce.

Jacek miał dwadzieścia pięć lat i dość sprawnie przekroczył bolesną granicę mojego wstydu i młodości.

– Będę uważał, nie bój się.

Był doświadczony w kontaktach z kobietami, ale nigdy nie zdeflorował dziewicy. Traktował mnie więc jak nową fantazję erotyczną. Podłożył mi poduszkę pod biodra i wszedł we mnie zdecydowanym ruchem. Cielesny rubikon pękł, sycony kroplami krwi. A po drugiej jego stronie – rozwiązłość już nie do udowodnienia.

A ja chciałam tylko... By miał ciemne oczy. Jak mój tata.

Niewiele jeszcze wiedziałam o miłości, ale już wtedy przeczuwałam, że nie będę umiała zbudować szczęśliwego domu. Żeby być rzemieślnikiem życia, trzeba najpierw poterminować u mistrza. Mnie zabrakło nauczyciela.

Siedząc na krawężniku życia, bałam się, że nagle ktoś powie do mnie: posuń się. A przecież... Tyle tu miejsca. Dlaczego zatem mam się posunąć?

Krawężnik życia.

Kiedyś potknęłam się o zbyt wysoki krawężnik na chodniku. Tata złapał mnie za ramię i tylko dzięki temu nie rozbiłam kolan.

– Uważaj, jak chodzisz.

– Musisz mnie pilnować, jestem twoją kochaną córeczką! – Zaśmiałam się rezolutnie, patrząc w jego ciemne, niemal czarne tęczówki.

– Zawsze będę cię pilnował, moja mała córeczko! – zapewnił.

Dlaczego, gdy już dorosłam, zapomniał o tym? Nie chciał mnie starszej? Dlaczego przegrałam z alkoholem?

– Tato, a pójdziemy razem na spacer?

Byłam czteroletnią dziewczynką z ciemnymi oczami. Rudziejąca od słońca grzywka nad czołem. Ładne usta, które kiedyś będą całowali zadyszani mężczyźni. Na razie usta te służą do zjadania grudy tłustej śmietany z trzonka łyżki albo otwierania ze zdziwienia na widok kopulujących psów.

– Chodź szybko, nie patrz w tamtą stronę.

Spacer z tatą zawsze się udawał. Tata był taki duży. To nic, że potem, w szpitalu, będzie wzrostu dziecka. Skurczony w precel boleści. Ważne, że wtedy był wysoki, bo dzięki temu mogłam dumnie kroczyć u jego boku. Podskakiwałam przekonana, że jest najwyższy z tatusiów.

Kopulujące psy zostały daleko, za krzakami przy śmietniku, a ja wciąż zastanawiałam się, dlaczego nie pozwolił mi patrzeć, jak się śmiesznie bawiły?

...Patrzyłam teraz na niego. Szpitalne kable, pomagające mu żyć, były jak ptasie gniazdo. W jednobarwnych polietylenowych objęciach mógł czuć się bezpiecznie. Technologiczną czułością sprawdzały wszystkie życiowe funkcje, dostarczały tlenu. Były cichą spowiedzią z bicia serca.

– Tato, poczekaj na mnie, wrócę...

Chyba usłyszał mój szept. Poruszył palcami, zastygłymi na czystej pościeli.

Wróciłam do hotelu. Patrzyłam przez okno na cichą o tej porze ulicę. Znów byłam w rodzinnym mieście. Nie miałam nawet klucza do mojego dawnego mieszkania w szarym bloku na Prostej.

*gdzieś między tobą a mną
pali się we mnie
lecz boję się krzyczeć
– może ktoś przybiec ugasić*

*niedawne – wybieliły ściany
a ja zbyt lekko ubrana
w korzenie*

Trzynastu kochanków. Trzydzieści męskich ciał, widzianych w różnych pozycjach. Każde pachniało inaczej, miało inną szorstkość, owłosienie i kształt. Zarys mięśni, napięcie łydek, męskie wypukłości i wklęsnięcia. Męskim ciałom zawsze chodziło o to samo. Zaspokojenie. Są takie żądne rozkoszy. Prawie jak dzieci kłócące się o cukrową watę. Żadne z nich nie było jednak skurczone w precel bóleści. Dlaczego więc mądrzy ludzie tłumaczą mi, że w tych wszystkich mężczyznach podświadomie szukałam taty?

Chciałam tylko, by mieli ciemne oczy... To wszystko...

– To iluzoryczne. Tobie tylko wydaje się, że jesteś we mnie zakochana. Jesteś jeszcze bardzo młoda, niczego nie rozumiesz – sapał mi do ucha, torując sobie chciwie drogę do męskiego spełnienia. Mój drugi kochanek. Mógł być moim ojcem. Miał żonę lekarzkę i syna Maćka, którego znałam z grupy teatralnej; pracowaliśmy razem nad sztuką Michała Bałuckiego, nigdy niepokodzonego z młodopolskim dramatem. Po udanej premierze zdecydowaliśmy się wystawić *Świętoszka* Moliera. Maciek grał Orgona, ja byłam jego żoną, Elmirą. Próby w szkole męczyły nas i postanowiliśmy ćwiczyć po zajęciach. Maciek zaproponował swój dom. To było mi na rękę, bo nie chciałam go zapraszać do siebie.

Któryś dnia drzwi otworzył mi jego ojciec.

– Maciek, do ciebie! Nie wiedziałem, że masz takie koleżanki.
– Omiótl chciwie wzrokiem moje zbyt duże jak na osiemnastolatkę piersi. Byłam przyzwyczajona, że zwracałam nimi uwagę mężczyzn, a jednocześnie wciąż bałam się wykorzystywać tę cielesną władzę.

Poszłam do pokoju Maćka.

– *Widząc to, na co patrzę, słów mi brak w istocie. Dziwić się tylko muszę twej rzadkiej ślepotcie. Doprawdy, zaślepionym trzeba być niemało, by jeszcze nam nie wierzyć po tym, co się stało!* – recytowałam z pasją słowa, które znałam już na pamięć, wyobrażając sobie tamten bunt Elmiry przeciwko kościelnej hipokryzji.

A potem mój teatralny Orgon odpowiadał uparcie:

– *Ja zaś wiem, co mam sądzić, i nikt mnie nie zmieni.*

Po dwóch godzinach skończyliśmy. Maciek wyszedł ze mną do przedpokoju.

– Odwiozę cię do domu. Muszę zajechać do apteki, a pada deszcz – usłyszałam nad sobą głos ojca mojego kolegi. Szarmancko podał mi kurtkę. Gdy wyszliśmy przed klatkę, rozpiął nade mną parasol, a potem otworzył drzwi auta.

Niebieski mały fiat dzielnie pokonywał kałuże i koleiny.

– Gdzie mieszkasz?

– Na Prostej.

– Zmokłabyś całkiem. To ponad kilometr.

Spojrzał na mnie tak dziwnie. Przestraszyłam się dziwnego ciemnego spojrzenia mężczyzny, który był w wieku mego taty.

Skręcił na Pułtuską.

– Ale... To nie tędy.

– Ciii, pojedziemy okrężną drogą.

– Ale dlaczego? – spytałam spłoszona.

– Zapraszam cię na kolację do lokalu za miastem.

Pojechałam, bo mój tata i tak nie czekał na mnie z kolacją. Przyszedł do niego kolega. Razem przynieśli z piwnicy niebieski garnek z zacierem, nastawionym tydzień wcześniej. Gdy ćwiczyłam Moliera, oni dzięki wykonanej w garażu aparaturze przypominającej sprzęt laboratoryjny zamieniali śmierdzący zacier w równie śmierdzący

bimber. Zwyczajny rytuał, do którego przywykłam. Domowy cud przemiany, prawie jak w Kanie Galilejskiej.

W domu pewnie nie było nawet chleba.

Mały zajazd przy drodze na Pułtusk. Dwa samochody na parkingu. Ojciec Maćka zatrzymał auto tuż za nimi. Wysiedliśmy. W lokalu czuć było zapach smażenia i dymu z papierosów. Z głodu zakręciło mi się w głowie. Pierwszy raz w życiu jadłam wtedy szaszłyk. Śmiałam się z tego mięsa na patyku. Był jak słony lizak.

– Ładnie jesz. Z apetytem – powiedział ojciec Maćka.

– Nie jadłam dziś obiadu, nie zdążyłam.

– Mogłaś powiedzieć, że jesteś głodna.

Zazwyczaj nie byłam głodna. Tylko wtedy. Mój tata lubił jeść. Smażył pokrojoną w talarki cebulę, stawiał patelnię na zatłuszczony „Sztandar Młodych” i zapraszał do stołu. Jedliśmy razem, widelcami kłócąc się o kęsy. Na koniec maczaliśmy kawałki chleba w rozgrzanym tłuszczu.

– Najedz się porządnie – mówił.

Gdy była jeszcze z nami matka, cebulę jadłam rzadziej, za to w soboty w niebieskim garnku dojrzewały kluski na parze. Potem klusek już nie było. W tamtym garnku dojrzewał tylko zacier.

Ojciec Maćka zamówił herbatę. Posłodziłam ją dwukrotnie, bo wciąż była gorzka.

– Pij, rozgrzejesz się.

On już był rozgrzany. Przed nim siedziała naiwna, choć inteligentna dziewczyna. Jej duży biust wylewał się ze zbyt obcisłego sweterka. Rozpalał zmysły.

– Jesteś taka piękna... – Wziął mnie za rękę. Nie cofnęłam jej.

Czy byłam wtedy piękna? Raczej młodzieńcza, a to usprawiedliwia. Gdy jest się przystojnym czterdziestoletnim mężczyzną i ma się wciąż tę samą żonę, szuka się takich usprawiedliwień. Ojciec Maćka zawiózł mnie do domu i musnął ustami w policzek na pożegnanie. Oswajał powoli.

A potem pewnego wieczoru odebrał mnie z próby teatru. Maćka na niej nie było, nie miałam z kim ćwiczyć.

– Zabieram cię na kolację. Do mojego domu.

– Ale...

– Maciek i jego matka wyjechali.

Przygotował nam łóżko w pokoju gościnnym. Nie chciał zostawiać śladów w sypialni. Rozebrał mnie szybko, sapiąc. Miał szczupłe dojrzałe ciało. Siwiejące włosy na piersiach. Nie spytał nawet, czy tego chcę. A ja nie broniłam dostępu do ciepłego tunelu, w którym po chwili poruszał się sprawnie niczym znawca. Głośnym stęknieniem oznajmił wykonanie zadania. Przekręcił się na bok i bardziej stwierdził niż zapytał:

– Nie byłaś dziewicą...

Pewnie wierzył w moją nieskazitelność i swoją wyjątkowość. Chciał zapisać się złotymi zgłoskami w mojej dziewczęcej pamięci. Rozczarowałam go.

Najbardziej bałam się rozczarować mojego tatę. Jadłam więc cierpliwie tę jego cebulę, choć miałam jej dość. Marzyłam o kluskach na parze lub chociaż jajecznicy. Bez cebuli.

Kiedy zapowiadał, że będzie pędził bimber, nie zapraszałam do domu koleżanek. Nawet Agnieszki.

– Nikt nie może się dowiedzieć, rozumiesz? – szeptał konspiracyjnie, a ja cieszyłam się, że jestem z nim w zмовie.

– Sprawdź, czy już dobry – wołał do mnie z pokoju. Wiedziałam, że wystarczy wylać na stół kilka kropel kapiącego z rurki płynu, zgasić światło i podpalić. Opanowałam do perfekcji odliczanie sekund, potrzebne do stwierdzenia mocy bimbru. Nigdy nie próbowałam go językiem. Stęchły drożdżowy zapach odstręczał.

Tata natomiast wołał próbować językiem. Czasem tak się w tym zapominał, że zasypiał w fotelu, chrapiąc głośno, a ja musiałam gasić ogień pod aparaturą i odkręcać rurki, żeby mieć dostęp do wody w kuchennym zlewie.

Te ewangeliczne przemiany wody w alkohol odbywały się dość regularnie w naszym trzypokojowym mieszkaniu na jednym z wyszkowskich blokowisk. Z podobną częstotliwością tata trzeźwiał i obiecywał, że nie weźmie już alkoholu do ust.

Chyba z samotności zakochałam się w ojcu Maćka. Udało mu się rozbudzić we mnie kobietę i tym mnie do siebie przywiązał. Nigdy wcześniej nie przeżyłam choćby namiastki przyjemności z seksu. Jacek był zbyt pośpieszny, a ja skrępowana. Wstydziłam się swojego rozkwitającego ciała, a duże piersi były kompleksem. Zakrywałam je dłońmi w chwilach, gdy nasze brzuchy tarty o siebie.

Dopiero ojciec Maćka zagrał na moim ciele jak pianista, choć nasz pierwszy raz nie był obiecujący. Wprowadzał mnie nieuchronnie w tajniki obcowania z męskim ciałem, bo przecież w życiu kobiety powinien zjawić się przynajmniej jeden prawdziwy mistrz erotycznej ceremonii. Któregoś dnia poczułam nieznane skurcze w dole brzucha, zrazu lekkie jak trzepoty motyla, potem silniejsze, płynące ciepłą falą. Miałam wrażenie, że kręgosłup jest światłowodem rozkoszy. W jej rytm wsączała się w trzewia błogość. Orgia układu współczulnego trwająca parę chwil, które tak bardzo chciałam zatrzymać w kadrze naprężonego ciała. Jęknęłam mimowolnie, a ojciec Maćka przerwał na chwilę swój męski rytuał i wyszeptał:

– Widzisz, jak może być przyjemnie?

Milczałam, a z oczu popłynęły łzy.

To właśnie ten moment traktowałam jak mój prawdziwy pierwszy raz. Pozostał we mnie jak najczulsze wspomnienie.

Ojciec Maćka, mimo początkowego rozczarowania brakiem mojej niewinności, kochał się ze mną chętnie.

– Kto to był? – pytał wciąż.

Nie chciałam o tym rozmawiać. Wreszcie ponaglana wyznałam:

– To był kolega, kilka lat starszy. Rozstaliśmy się po miesiącu.

– Dlaczego to z nim zrobiłaś?

– A dlaczego nie? Miałam czekać na ciebie?

Mówiłam mu po imieniu, choć na początku bardzo mnie to krępowało. Marzyłam, żeby mnie zaadoptował. Zabrał z domu. Stał się moim nowym tatą. Ale... to nie było możliwe. Przecież byłam już pełnoletnia! Tysiące dni i nocy oraz miliony codziennych oddechów wiązały mnie z tym światem na tyle silnie, bym mogła wreszcie uwierzyć we własną dorosłość.

Niežnośna wyliczanka. Zaginam palce jak dukające cyframi dziecko, starając się przeliczyć czas. Jedno życie, dwoje rodziców. Trzy poronienia. Cztery wyznania miłości, reszta to przypadkowe spotkania w pościeli, aucie lub na trawie. Pięć... Najboleśniejsze. Tyle miałam lat, gdy moja matka odeszła. Nie, nie umarła. Gdyby tak się stało, być może łatwiej byłoby mi wybaczyć albo przynajmniej zrozumieć. Ona po prostu zniknęła z mojego życia, zabierając dwie brązowe walizki pełne ubrań, radio i lampkę nocną. Lubiła przed snem czytać książki.

*Zbuduję most z naszych imion.
Popędzę wiersze na pastwiska chwili,
słowom rozdram horyzont,
niech roznoszą treści.
Jedność przywrócę
porwanym duszy żaglom.*

Matka... Tata mówił na nią „Krychna”. Denerwowała się bardzo.

– Nie możesz powiedzieć po prostu „Krysia”?

Ale on wciąż mówił „Krychna”, zwłaszcza gdy chciał jej doku-
czyć. Albo gdy się kłócili. Nie robili tego często. Przynajmniej na
początku. Jeszcze wtedy spali razem.

Potem, gdy już byłam nieco starsza, tata przeprowadził się do
pokoju obok, a ja zajęłam jego miejsce, osierocając dziecięce kre-
mowe łóżeczko z wyłamanym szczebelkiem.

Którejś nocy obudziły mnie kroki matki. Wstała do łazienki.
Usłyszałam skrzypienie drzwi i przytłumione odgłosy.

– Krysia, chodź do mnie na chwilę...

– Daj spokój, Zygmunt.

– Proszę, na chwilę. Nie mogę już wytrzymać.

– Zostaw mnie, nie będę z tobą spać. Brzydzę się.

– To się tylko położysz, a ja cię chociaż pogłaszczę po włoskach.

– Już późno. Rano do pracy.

Jakiś ruch, szelest. Znów głos taty.

– Tęsknię, daj mi...

– Ale ty wciąż sapiesz. Nie mogę tego znieść. I jeszcze gadasz:
„Poczekaj, tylko odpocznę”! – Matka chłostała nocną ciszę zbyt
ostrym szeptem.

Trzaśnięcie drzwi. Powrót matki do łóżka. Udawałam, że śpię. Na-
uczyłam się nawet równomiernego posapywania. To była moja forma
przetrwalnikowa. Zwinięta w embrion, budowałam w sobie lepszy świat.

Ta rozmowa... Była po prostu czułą wymianą zdań między mo-
imi rodzicami.

Tato... Myślami jestem przy tobie... Musisz wyzdrowieć... Chciałabym ci opowiedzieć o moim życiu. Wiem, że mnie zrozumiesz. A ty... Czy zdążyłeś powiedzieć mi wszystko? Mam przeczucie, że twoje milczenie jest dowodem na galopadę myśli.

Dochodzi dwudziesta trzecia. Zwykle o tej porze już śpię. Moja wieś na pewno zastyga szarym przedwieczorem, nawet koty i psy leniwieją. Jestem daleko od siebie. Kiedyś to podwarszawskie miasto było moim gniazdem. Lubiłam jego ruchliwość ulic, gwar środowych targów. Wartkość rzeki, rozciągniętej w łagodnym korycie. Żółty piasek brzegu. Mówiło się: idziemy nad Bug.

W parku nad Bugiem wypiałam swoje pierwsze wino. Zwyczajnie, z tak zwanego gwinta. Pamiętam, że było jabłkowe. Staliśmy z tą butelką bezradnie, jak z lampą Aladyna bez instrukcji.

– Kto otworzy? – rzucił kolega.

Ktoś miał nożyk. Wydłubał z trudem plastikowy korek.

Płyn miał bursztynowy kolor i cierpki smak.

„Skoro ty pijesz, to i ja mogę” – myślałam, przetykając szybko.

Zawsze o nim myślałam. Moje życie było jak permanentny list myśli, pisany do taty.

Oparłam czoło o szybę. W hotelowym pokoju wspomniałam tamto wino nad Bugiem – niemą deklarację mojego buntu. Dziś, gdy już jestem dorosła, buntuję się inaczej. Patrzę na światło latarń i deszcz, złączone w złotych smugach. Ta połączana wilgoć kapie na mnie, drażąc w myślach trwałe korytarze. Niepodległy upór kropli wody.

Plakałam listopadem i dzieciństwem. To wszystko moja wina.

Imieniny taty. Miałam chyba cztery lata. Siedziałam pod stołem i z tej perspektywy obserwowałam świat. Przede mną były nogi gości. Pan Zenek, który potem będzie pędził z tatą bimber, miał długie nogi w ciemnych spodniach, zakończone prążkowanymi skarpetkami. Na dużym palcu lewej stopy świeciła dziura. Skarpetki pana Zenka śmierdziały potem. Zatykałam nos, gdy siedziałam przy nim.

Pani Schola była wysoka i postawna. Nosila stylonowe pończochy, przypięte żabkami do pasa. Jedna żabka była luźniejsza i pani Schola wciąż sięgała ręką pod spódnicę i poprawiała ją. Od pani Scholi czuć było zapach stylonu i spoconych ud. Były bardzo grube i wciąż się zacierały. Pani Schola mówiła o tym nawet przy stole.

Pan Kazik nosił stare dżinsy i skarpetki frotté. Nie wydzielał żadnego zapachu, ale stopą trącał czasem panią Scholę. Ona odwzajemniała mu się gestem ręki. Kładła mu ją na rozporku. Ich stopy i dłonie trwały pod tym stołem w wiecznym tańcu miłości.

Były jeszcze nogi taty. Chude i bez włosów. Zgrabne i długie nogi matki rzadko kiedy siedziały w miejscu. Wciąż biegały do kuchni i z powrotem. Dzięki temu miałam otwartą przestrzeń i w każdej chwili mogłam wyjść spod stołu, bez przepychania się między obcymi łydkami. Gdybym tylko chciała. Ale nie robiłam tego. Tam na dole mogłam bezkarnie podsłuchiwać, o czym mówią dorośli.

– Stary, podaj „miśka” z kredensu.

To matka.

Skoro czas na „miśka”, to znaczy, że skończyła się wódka nasza i gości.

„Misiek” był foliową figurką kryjącą we wnętrzu butelkę. Radosny wymysł komunistycznej estetyki. „Misiek” szeleścił jak papierek po cukierku. Rodzice nie pozwalali mi się nim bawić, bo mogłam coś zepsuć. Był więc poza moim zasięgiem. Stał dumnie za szybą i patrzył czarnymi guzikami oczu.

Gdy szedł na stół, znaczyło, że impreza się kończy. W jego wnętrzu stała bowiem wódka ostatniej szansy. Żelazny zapas dla niedopitych.

– Ty, Kryśka, a czemu ty nie chcesz spać z Zygmuntem, co? – Głos pana Kazika, rozochoczonego ręką pani Scholi.

– Bo ma fiutka jak gęsią szyję.

To siedzenie pod stołem było „zerówką” mojego życia. Kiedy imieninowi goście wychodzili, bo zapas w „miśku” się skończył, zostawałam w pokoju sama. Wychodziłam spod stołu i zlewałam

resztki ze wszystkich kieliszków do tego, z którego pił tata. Potem wypijałam zawartość duszkiem, jak dorośli, krzywiąc się przy tym i stękając. Oni tak robili, widziałam to. Na koniec zagryzałam kawałkiem zeschłej kielbasy.

„Tatusiu, będę kiedyś taka jak ty” – mruczałam dziecinnie, tułąc się do mojego pluszowego miśka, w którego wnętrzu nie było butelki, a trociny.

Pierwsza klasa życia zaczęła się chyba wtedy, gdy zostaliśmy już z tatą sami.

Matka po prostu wyjechała. Najpierw wystawiła te pękate walizki na klatkę schodową, a ja patrzyłam na to, nic nie rozumiejąc. Potem przyszedł jakiś pan i je zabrał. Pocałowała mnie. Chyba miała łzy w oczach.

Nie płakałam. Byłam zdezorientowana. Przecież niczego złego nie robiłam! Nie niszczyłam zabawek ani ubrań. Siedziałam zwykle w kąciку między kredensem a szafą i bawiłam się miśkiem lub szmacianą lalką. Albo rysowałam kredkami przy kuchennym stole. Nie mówiłam brzydkich słów, bo nawet ich nie znałam. Może poza tym fiutkiem, ale to ona powiedziała, nie ja. Ja się tylko nauczyłam. Dzieci biorą przecież przykład z dorosłych.

Więc dlaczego wyjechała? Co ja teraz powiem Agnieszce?

– Pojechała do pracy do Włoch. Mieszka tam znajoma pani Scholli. Nie płacz, mama będzie wysyłała nam paczki.

Nigdy więcej nie powiedziałam na nią „mama”. Potem już tylko „matka” albo „ona”. Nie chciałam jej łaskawych paczek. To był bunt, bo byłam jeszcze za mała na nienawiść.

Krótkie piknięcie. SMS. Telefon na chwilę zajaśniał jak meteoryt. Po chwili zgasł. Wyciągnęłam rękę w jego kierunku.

„Przylatuję jutro w południe. Z Warszawy przywiezie mnie Andrea. Addio! K.”. To matka. Zostało mi zaledwie dwanaście godzin i trzydzieści minut, by uspokoić serce.

Mam czterdzieści trzy lata. Już się nie buntuję. Czy teraz jestem w sam raz na nienawiść?

Gdy jeszcze była z nami, miałam dom. Kaleki, przecięty cięciwą samotności, ale miałam. W swoim kącie za kredensem mogłam siedzieć godzinami i nikt mnie stamtąd nie wyrzucał. Czasem zamykałam się w ciasnej łazience i wyobrażałam sobie, że mieszkam w małym domku w środku ciemnego lasu. W oddali wyją wilki. Zamknięte na skobel drzwi oddzielają mnie od nich. I wtedy pojawiało się błogie poczucie bezpieczeństwa, które sama w sobie wywoływałam. Budowałam swój własny Dom, siedząc na krawędzi wanny w tej ciemnej, zaropiałej łazience.

– Wychodź! Co ty tam robisz?! Co za dziewucha! – Matka cięciem ostrych słów przerywała moje zamyślenie.

Spuściłam wodę. Wyszłam.

– Zygmunt, ona ma chyba zatwardzenie. Bo ciągle w tej łazience. Może trzeba do lekarza? Idź z nią.

– Nic jej nie jest.

Miał rację. On znał mnie najlepiej. Nic mi nie było. To tylko chora dusza dziecka.

Któregoś dnia wróciliśmy z przedszkola. Pomagała mi rozpiąć niebieski płaszcz w kratkę. Szarpała lekko, bo ociągałam się.

– Mamo, a kochasz mnie? – zapytałam.

Spojrzała na mnie z uwagą.

– Co za pytanie?

Nie odpowiedziała. Poszła do kuchni gotować makaron.

– Dlaczego ja nie mam rodzeństwa?

Zastygła z durszlakiem w dłoni.

– Idź umyj ręce. Zaraz będzie obiad.

Miała całkiem niebieskie oczy otoczone ramką czarnych długich rzęs. Czarne włosy spięte w kok. Była bardzo ładna. Nie byłam do niej podobna. W ogóle nie byłam podobna do rodziców. Miałam tylko ciemne oczy jak mój tata.

– Bo ty jesteś taka wymieszana! – Śmiał się pan Kazik i puszczał oko do matki.

Lubiłam patrzeć, gdy matka się malowała. Kładła na twarz puder. Malowała oczy niebieskim cieniem. Małe pudełeczko z otwieranym wieczkiem. Na wierzchu napis: „Pollena Uroda”. Potem malowała te swoje długie rzęsy. Pluła do pudełeczka z tuszem i sprawnym ruchem oblepiała włoski ciemną mazią. Po chwili stawały się jeszcze dłuższe.

– Czego się tak malujesz? Wyglądasz jak stara pudernica! – wołał czasem tata. Pewnie był zazdrosny. Bo sam nie był taki ładny. Niższy od matki, wyglądał znacznie starzej, choć był młodszy o dwa lata.

– Patrz na siebie! Jak ty wyglądasz, stary pierniku?!

Zwyczajowa wymiana zdań.

Wtedy jeszcze alkohol nie był codziennością. Gdy rodzice mieli dobre dni, siadali razem przy kuchennym stole i nalewali wino do literatek. Tata tak nazywał niewielkie szklaneczki. Niewiele ze sobą rozmawiali, a jeśli już, to o tym, co jutro na obiad i czy w tym roku kisimy ogórki.

A potem wieczorem zaganiali mnie do kąpiel:

– Idź się myć. Dobranocka już była! Czas spać.

Wsadzałam wielki gumowy korek do wanny i puszczałam strumień wody. Na szafce stał szklany pojemnik w kształcie szyszki. W nim była zielona sól do kąpieli. Sypałam ją na otwartą dłoń i wkładałam pod strumień. Woda pieniała się tęczowo, a łazienka pachniała igliwem, a nie grzybem i wilgocią.

– Jak będziesz w wannie, to zawołaj. Umyję cię.

Nie lubiłam, gdy myła mnie matka. Szorowała mocno i niedbale szorstką gąbką i ciało natychmiast robiło się czerwone. Tata był delikatniejszy. Przy wycieraniu też. Stawiali mnie na zakrytej ręcznikiem desce klozetowej. Któregoś dnia matka zawołała:

– Popatrz, Zygmunt, czy to nie przepuklina?

Każde podejrzenie o chorobę dzieliła z ojcem, jakby sama miała nie dość wiedzy i chęci, by stawić temu czoło.

Na moim dziecięcym wzgórkulonowym pojawił się wyraźny guz. Wystarczyło go nacisnąć, a chował się do środka. Mnie wydawało się, że to normalne, a matka mówiła na to mądrze: „przepuklina”.

Nikt się jednak mną nie zajął. Matka machnęła ręką, tata zapomniał. A potem, gdy byłam większa, nie kąpał mnie już i nie wycie-

rał. Pół życia przeżyłam z rosnącym guzem. Dopiero po rozwodzie z Filipem zdecydowałam się na operację. Była jak usuwanie ostatnich wspomnień po moim dzieciństwie. Bolało mniej, niż myślałam. Najbardziej dziwiło mnie, że mój mąż przez wszystkie lata naszego małżeństwa nie zauważył nawet, że mam przepuklinę!

Lubiłam niedziele, bo wtedy często wychodziliśmy na spacer. Przy śniadaniu zwykle prosiłam, przeciągając głoski:

– A póóójdziemyyy na spaaacer???

Matka spoglądała wtedy w okno. Jeśli było słonecznie i bezwietrznie, mogłam liczyć na wielkie wyjście. Jeśli padało lub niebo było zachmurzone, nie było szans. Nawet nie pytałam.

Pamiętam taką niedzielę.

Wiosenne słońce w poźarze promieni, w parku nad Bugiem pewnie kwitły już fiołki. W szafie wisiał nowy czerwony płaszczyk. W myślach zakładałam go już na siebie, na nogi wsuwałam nowe pantofle. Spacerzy były dla mnie synonimem normalności. Podniosłam się radosna na poduszce, wystawiłam nogę spod kołdry. Chciałam już wstawać, podekscytowana planowanym spacerem, gdy ostry głos matki przeciął moje szczęście jak żyłtka:

– Ty skurwysynu, chociaż w niedzielę mógłbyś nie pić!

W pięknych ustach męła przekleństwa.

Wiedziałam już, że nie mam co marzyć o parku i fiołkach. Że już do końca dnia będą dochodzić mnie głosy zrządzenia i klótni.

Zostałam w łóżku do południa. Nikt nie zauważył mojej nieobecności. Matka obierała już ziemniaki na obiad, gdy szłam do łazienki umyć spuchnięte od płaczu oczy.

A jednak bez niej mój dziecięcy świat poległ jak powstaniec. Tata przygaśł. Tęsknił. Jego i tak szczupła twarz zwężyła się jeszcze bardziej. Wyglądała jak ostrokończysty księżyc tuż przed nowiem.

Żeby zarobić na dom, musiał dużo pracować. Jako mechanik samochodowy miał zawsze mnóstwo zleceń i propozycji. Wyszowska złota rączka. Ludzie doceniali go na początku, a potem wykorzystywali. Był tani i dokładny. Bo z czasem robił za pół litra. Zaczął pić

na dobre. A ja, dorastająca dziewczynka, spędzałam coraz więcej czasu w kącie za kredensem. Mówiłam sama do siebie, bawiąc się lalką. Przecież musiałam jakoś zabić samotność.

Tę samotność zabijałam potem jeszcze wiele razy. Zmartwychwstawała nieproszona. Gdy poszłam do szkoły i siedziałam sama w ławce, bo nikt nie chciał bawić się z zamyślonym odludkiem. Gdy dojrzewałam i wydobywałam się z marazmu dzieciństwa, a jednak mimo wszystko dopadały mnie kompleksy. Gdy Agnieszka porzucała mnie dla innej przyjaciółki, bo nie miałam lalki z długimi włosami. Gdy zostawił mnie mój pierwszy chłopak, a ja przysięgłam sobie, że teraz to ja będę wybierać i zostawiać. Gdy podejmowałam decyzję o małżeństwie, potem o rozwodzie. To wtedy w wieku czterdziestu jeden lat rozpoczynałam nowe życie. Wyjechałam na Mazury z poczuciem, że już oswoiłam swoją samotność i będzie dla mnie łaskawą przyjaciółką.

I nagle tu, w tym hotelu, poczułam znajomą gorycz, podchodzącą do gardła. Znów mnie dopadła. Może nieco łagodniejsza, znieczulona świadomością obecności w moim życiu kogoś ważnego?

Co będzie z tatą? Jakaż to dziwna choroba toczy jego ciało? Gruźlica? AIDS? Dlaczego lekarze zajęli się nim tak późno? Podobno dwa dni leżał w domu z silnymi dusznościami. Sąsiadka wezwała pogotowie. Lekarz przyjechał i powiedział:

– Ten pan musi najpierw wytrzeźwieć.

Alkoholik wytraca swoje człowieczeństwo. Dla trzeźwych jest tylko półczłowiekiem. Jego pijana półdusza nie jest zdolna do odczuć. Jego pijane półciało nie musi być traktowane z troską przynależną zwykłym ludziom. Dla niego musi wystarczyć zwykła kropłówka na wzmocnienie. Nie zasłużył na łaskę medycyny.

Po dwóch kolejnych wizytach lekarza z pogotowia mój tata trafił wreszcie do szpitala.

– Pacjent jest wyczerpany, odwodniony, z wysoką gorączką. Dlaczego trafił do nas tak późno? – zdziwiła się lekarka na dyżurze. Zleciła badania. Nareszcie ktoś zajął się nim. Czy dlatego, że wytrzeźwiał?

O czym teraz myślisz? Czy w ogóle myślisz? Czy półprzytomny człowiek zaplątany w kable ma jakieś myśli? Może jego życie jest tylko kroplą czasu?

Deszcz wciąż bębnił cicho w hotelowy parapet, mała lampka nocna oświetlała kąt pokoju z fotelem, na którym siedziałam z podwiniętymi pod siebie stopami. Cisza uspokajała.

Przyzwyczaiłam się już do pustych nocy. Najtrudniej było je polubić, gdy zamieszkałam w moim nowym starym domu we wsi Nowy Żyzdrój niedaleko Piecek i Mrągowa. Stuletnia drewniana chata była wpisana w rejestr zabytków; czasem miałam wrażenie, że czuć w niej oddechy przodków. Wprowadzałam się do niej nie bez obaw. Jak będzie wyglądało moje życie – do tej pory miejskie i wygodne? Czy podołam codzienności obcowania z domem, jakże innej niż ta w wygodnym bloku z kanalizacją i centralnym ogrzewaniem?

Dom. To była jedyna rzecz, jaką odziedziczyłam po matce. Należał kiedyś do jej rodziny. Matka, wyjeżdżając, przepisała go na mnie. Dzięki temu miałam gdzie się podziać, gdy po rozwodzie zostawiłam wszystko Filipowi, wtedy już prawie obcemu człowiekowi.

Podłączyłam swój zabytek do Internetu i znów znalazłam się w świecie takich jak ja, rozpraszających swoją pojedynczość klikaniem w klawiaturę.

Sięgnęłam po komórkę. „Jak minął dzień, kochanie?” – wystukałam. Po minucie przyszła odpowiedź: „Dzień minął najzwyczajniej jak potrafił. Jutro wyjeżdżam, muszę coś załatwić. Odezwę się późnym wieczorem. Twój...”. „Najzwyczajniej jak potrafił...”. Cały on. Tylko on tak pisze, niby od niechcenia, tworząc nowe znaczenia i stopniując po swojemu. Skoro coś może być „zwykłe”, to czemu nie „najzwyczajnie”? Nasze rozmowy pełne były takich słów; bawiliśmy się nimi jak żonglerzy, doskonale wiedząc, że to tylko zabawa.

Włączyłam radio. *Kulturalny wieczór z Jedynką*. Za chwilę będą *Lektury przed północą*.

Radio było towarzyszem moich nocy. Ale tylko wtedy, gdy jego nie było ze mną.